



Anna Cieplak

**widzę twoje oczy w ciemności
(fragment)**

**I See Your Eyes in Darkness
(an Excerpt)**

[...]

– Ale ładne! – wyrywa się Lena na widok domków na wzgórzu, które właśnie wyłaniają się na horyzoncie. Z daleka wyglądają jak tęczowa mozaika, z bliska Lena zobaczy, że różnie bywa: niektóre kolorowe budynki się sypią, przypominają bardziej domki z kart, po których biegają kury i koguty, szwendają się koty o trupich kształtach, a dzieci strzelają do siebie z gałązek. Inne domki będą za to odpicowane z turystycznym blichтром, będą lśnić połączanymi lwami na klamkach i błyskać bmw na zewnątrz, nikt ich nie ruszy, nie odważy się. Bo to trofea narcos w turystycznej uliczce. Czasami pałace gangoli przeplatają się z mniej ostentacyjnymi posesjami dyplomatów i polityków. Nieraz ich ścieżki się spotykają – szczególnie wtedy, gdy kartele przemycają kokę w krewetkach i bananach bogaczy z rządu.

Dopiero poniżej kolorowych domków pojawią się zwyczajne domy z wentylatorami i klatkami schodowymi zamkniętymi na klucz. Jak dom, w którym zamieszkają zaraz na pięć tygodni Lena z Alicją.

– Wasze mieszkanie jest trochę bliżej Malecón. Nie daleko wylegują się iguany, fajnie, nie? Do nas macie piętnaście minut. Pokażę wam z góry, który to budynek. To w sumie turystyczna dzielnica, więc jest bezpiecznie. Tylko nie zbaczajcie za bardzo w prawo od drugich schodów przy Malecón.

– Dżizys, Mathias, chcesz, żebyśmy chodziły przez miasteczko tylko po liniach prostych?

Mathias uśmiecha się:

– Nie chcę was nastraszyć, nie o to chodzi, po prostu, jesteście...

– Wiem, kim jesteśmy – puentuje Alicja.

Domenica łagodzi:

– Przestrzegajcie tylko tych kilku zasad, o których mówiliśmy. Zero kart, telefonów, torebek na wierzchu. Do dzie-

sięciu dolarów w kieszeni. Za tyle się porządnie najecie w Amadorze i jeszcze zostanie na owoce.

W tym momencie podjeżdżają na miejsce, a Mathias odwraca się w stronę dziewczyn i dodaje:

– No i częstujcie się Guayaquil, tutaj wszystko pulsuje życiem. Nie dziw, że raz na jakiś czas ktoś chce to życie zniszczyć.

[...]

Upadek słońca

Melodia *Todos los cholos* roznosi się po dachu, a Mathias na zmianę wyje lub zawodzi piosenkę Hugo Idrovo, której tekst wyświetla się z rzutnika do karaoke. Ignoruje obraz, słowa zna na pamięć, stoi odwrócony do ekranu plecami, zapatrzonego w kolejkę linową krążącą między kolorowym wzgórzem a Durán. Wagoniki za dwie godziny się zatrzymają, a teraz nakręcają ruch miasta i rzucają na nie złowrogi cień.

I to jest właśnie ten moment. Słońce prawie roztopiło się w rzece. Cień i jaskrawość zbliżają się do siebie jak dwa stworzenia, żyjące obok siebie i ze sobą niewalczące.

Mathias najchętniej ogłosiłby to piękno końca dnia do dziadzińskiego mikrofonu podłączonego do głośniczka wielkości skrzynki na listy, aby rozproszeni w mieszkaniu i na tarasie goście zobaczyli to, co widzi on. Ale nie, nie ogłosi. Każdemu jego Guayaquil. Wie, że taki zachwyt uchodzi za śmieszny.

A po porwaniu Domeniki za dziwny, na skraju głupoty wynikający z naiwności. No cóż, kiedy dziesięć lat temu opuścił górzyste tereny Quito, odczuł, że właśnie o to chodzi: tutejszą lekkość powietrza, białoszarą powłokę nieba wiszącą nad miastem w ciągu dnia i chroniącą je przed roztopieniem w upale, bliskość oceanu i wybrzeże przejęte przez gangi, oraz zadanie główne: postawić Universidad de las Artes na styku z komunami. Splatać domy z dykty bez okien z murami klimatyzowanego gmachu i patrzeć, jak temperatury się wyrównują.

Oczywiście, że widzi, jak jest. Widzi swoją stałą pensję asystenta bez tytułu przed pięćdziesiątką, w jakimś sensie na łasce Domeniki, która go wybrała do kierowania programem integracyjnym. Widzi sprzedawców ulicznych całodobowo krzyczących *agua-agua* z wodą na plecach, widzi dzieciaki z Durán, które kradną telefony, a później on wciąga te dzieci na listę studentów, udając, że o niczym nie wie. Widzi rodziny z Karibu w pochodzie przeciwko narkokulturze karteli i pieniądze na badanie, czemu tak jest, chociaż każdy to, kurwa, wie. Widzi poławiaczy skorupiaków z Puny, widzi kasjerkę z osiedlowego naprzeciwko, która odrywa główkę ananasa, bo wie, że Mathias zjada sam owoc i nie robi z pióropusza nawozu jak jej matka. Wszystko się kręci między tymi różnicami spojrzeń i zlewa teraz w słońcu rozta-

piającym się w Guayas po pięknym dniu. A on śpiewa na dachu mieszkania znajomych Domeniki, którego wynajem kosztuje grosze, i nikt nie każe mu zamknąć ryja.

Kiedy przychodzą złe czasy, a na ulicach nastają dni szczurów i podziemne miasto wybija na wierzch, taras daje złudzenie, że widzą z Domenicą jak z latarni morskiej, co trawi miasto.

Szczególnie nocą, kiedy hordy wyścigowych fur byczków z Los Lobos krążą po ulicach, a blaszana mała na wlocie do Guayaquil nie reaguje. Stoi nieruchoma i patrzy, jak leje się krew.

To chwile, w których się nie wychyla, woli wtedy być tu – na dachu, a nie tam, gdzie powinien być z powołania, czyli blisko chodnika. Leży wtedy w hamaku i dynda nad tym zniszczeniem jak ćma zawinięta w kokon.

A kiedy najgorsze mija, wypęła z kokonu z nową siłą, wraca do pracy, jakby nic się nie stało. W tym oszustwie jest metoda. Bo przemoc to cykl, jak cykle w pralce. Każdy kiedyś się kończy. I nie ma w tym ironii, po prostu wpływ pojawia się rzadko i punktowo – trzeba za nim gonić, a czasem wycofywać się, aż opadnie kurz, wracać do roboty po krachu jak gdyby nigdy nic.

– Polacas przyszły – Domenica łapie Mathiasa w pasie i zostawia pocałunek na jego szyi, a w międzyczasie do laptopa podchodzi drobna dziewczyna, na oko studentka, żeby znaleźć piosenkę do karaoke.

Kiedy w tle leci już Grecja Albán, Mathias wpada w ramiona Alicji, wchodzącej właśnie po stromych drewnianych schodach na dach. Widzieli się kilka godzin temu, ale po pobycie w Polsce wie, że wschód i południe są bliżej niż dalej w ciele, chociaż często się nawzajem nie widzą. Alicja nie przewraca oczami na uścisk obcych. To, co przekraczało granice delegacji z Glasgow, tutaj jest normą.

– A w ogóle to mówiłem ci, że Polaca to są takie jogurty w białoczerwonym opakowaniu? Naprawdę. Można sobie kupić i zjeść Polaka w Tía albo gdzieś. – Pokazuje jej zdjęcie z googla, jakby to miało jakieś znaczenie dla międzynarodowych relacji. Ostatecznie kultura narodowa na tym się zaczyna i kończy na Erasmusach.

Tymczasem Lena przemyka obok Mathiasa i jego jogurtów jak zahipnotyzowana prosto do balustrady z neonowymi gwiazdami i ledowymi bałwanami. Wychyla się za barierkę i widzi bezdomnego układającego się właśnie do snu w kartonach. Na terapii uzupełniała kiedyś test, w którym dwa razy w różnych miejscach padło pytanie: „Czy kiedy stoisz na krawędzi, chcesz skoczyć?”. Szybko zauważyła, że krawędzi świata jest więcej i nie trzeba z nich spadać. Można się wychylać i ześlizgiwać. Dlatego sięga dłonią do kieszeni, żeby wykonać w niej ruch pstryknięcia w blister, chce przejechać po języku tabletką, której czas uwalniania jest krótki i donośny. Kilka minut i wybuchnie blask.

– ¡Hola! Ty przyleciałaś z Polski? Jestem Pamela. – Lena zamiera z dłonią w kieszeni, opuszką palca gładząc tabletkę, która nie wyskoczyła jeszcze z plastikowej powłoki.

– Yes – odpowiada, celowo nie używając *sí*. Wolałaby wgapić się w upalne miasto, zamiast gadać z dziewczyną z granatowymi włosami. Może spłoszy ją językiem. – Nie mówię po hiszpańsku.

– O, to ekstra. Poszlifuję swój angielski. Bardzo mi się podoba wasz kawałek Atlasu Miejsc Troski – mówi Pamela. Lena nie ma pojęcia, co Alicja robi teraz w życiu i o atlas czego chodzi. Wie tylko, że ma ją zabrać na Galápagos.

– Mhm, dzięki.

– Oczywiście mnie nie wzięli na wyjazdy do Europy, bo jeżdżą tylko wybrańcy. Ale nieważne, nie narzekam, może u was jest inaczej. Ja robię swoje na miejscu. Ty pewnie jeszcze też studiujesz?

Pamela wyciąga z torebki vapa, a Lena czuje rodzaj ulgi, która pojawia się, kiedy wiesz, że wyglądasz na tyle dojrzałe w wieku osiemnastu lat, że nie pytają cię o dowód. O studiach może kłamać, ile wlezie, jest na kanale dla geeków prawa na Discordzie i po maturze zamierza iść w tym kierunku. Nad głową Pameli unosi się chmura kannabinolu, która sprawia, że dziewczyna chce się pobawić tą myślą. Zawiesza się na strukturze i kształcie obłoczku, kiedy dociera do niej, że sama wciąż trzyma dłoń w kieszeni, miętoląc blister.

– Jeszcze nie mam aplikacji adwokackiej, ale czasem konsultuję jakieś sprawy w spółdzielni Alicji. – Podbija swoją pozycję starową. Pamela wydaje się kimś, kto może mieć dostęp do rzeczy, jakich Lena potrzebuje, więc co jej szkodzi drobny, zdradliwy prompt.

– Chcesz? – Pamela wyciąga w jej stronę vapa, a Lena rzuca pobieżne spojrzenie w stronę Alicji, która stoi do nich tyłem i to daleko stąd. Rozluźnia dłoń, wynurza ją z kieszeni i bierze bucha. Ciekawe, czy tata jej powiedział. Pewnie nie. Tak czy inaczej, pozwala Pameli mówić, co ta chce, stoi tulona kłębam dymku, opierając się o murek.

– Kurde, z tym prawem byś nam się tutaj przydała! Na wydziale nie mamy takich ludzi, a jak jeżdżę zbierać materiały z Mathiasem, to często nam wychodzi, że podjeżdżają w komunach patenty. I u Shuar, i u Achuar w Amazonii. Wiesz, to wygląda tak, że przyjeżdża kilka osób, zwykle białych, wiadomo, że niby chcą przyjąć ayahuaskę, a tak naprawdę podglądają, podpytują i kradną receptury, jakimi ludzie się leczą od lat w komunach. I, kurwa, całkowicie przypadkowo miesiąc później lek wchodzi na rynek w Meksyku albo Stanach.

Pamela wykrzywia usta w grymasie pomiędzy złością a satysfakcją z bycia blisko ciemności i wtajemniczenia.

- No, ale może coś się uda z tym ruszyć teraz, przy Atlasie. Oczywiście nie żeby robić w wioskach skansen, nie że jakieś kolonialne, konserwatywne gówno o tym, że ludzie w Amazonii żyją pod kamieniem bez telefonów, ale żeby chociaż dostali to, co im się należy. Jakieś odszkodowanie, procent od sprzedaży, cokolwiek za kradzież.

- Dasz jeszcze bucha? - pyta Lena, rzucając kolejne kontrolne spojrzenie na Alicję, które przez kilka mikrosekund cofa ją do czasu przed rozstaniem z tatą, gdy zabierała Lenę do obcych domów pachnących dymem. Bawiła się wtedy z dziećmi, a Alicja rozmawiała z płaczącymi kobietami palącymi papierosy w mieszkaniu. Po takich wizytach wietrzyły później kurtki na balkonie. Czy po Ekwadorze też będzie musiała to zrobić?

Książka pod roboczym tytułem „Atlas miejsc troski”, której fragment jest tutaj publikowany, powstaje w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
